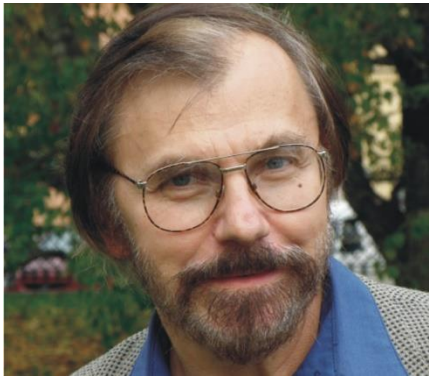


## Listy do Pani A. (197)



Fot. Andrzej Dębowski

## Najdroższy banan świata

Droga Pani!

Pory roku są teraz nietypowe. I tak nie wiemy, czy w samo Boże Narodzenie będzie aura zimowa. Pamiętam z dzieciństwa, kiedy już na Mikołaja był mróz i śnieg. Przychodził do mnie ten uwielbiany przez dzieci święty. W moim przypadku był to sąsiad, miał na twarzy maskę, tylko przez otworki błyskały oczy. Broda, oczywiście, biała, z waty, reszta również jak się należy. Wierzyłem w świętego Mikołaja, i... nie wierzyłem. Ale kiedy pytałem dlaczego ma on taką dziwną, jakby zdrewniałą twarz, wyjaśniono mi, że to od mrozu i szronu. I to mi wtedy wystarczyło, choć do końca nie niwelowało niedowiarkowych wątpliwości i podejrzeń. W każdym razie to były zimy!

Pamiętam ten świąteczny nastrój, zapach choinki, prawdziwe świece, podekscytowanie prezentami. Gdzie się podział ten nastrój? Zupełnie mi nie odpowiada dzisiejsza świąteczna komercja, hałaśliwe reklamy, dzwonki, pokraczne krasnale – cały ten plastikowy wystrój, w którym gubi się istota świąt Bożego Narodzenia – jak sama nazwa wskazuje – wydarzenia wielkiego, niepojętego, metafizycznego i nieskończenie ważnego. Chyba, jak dotąd, najpełniej za pomocą języka poetyckiego wyraził to Franciszek Karpiński: *Bóg się rodzi moc truchleje, Pan Niebiosów obnażony, ogień krzepnie, blask ciemnieje, ma granice Nieskończony*. To najdoskonalszy artystycznie, i nie tylko, traktat filozoficzno-teologiczny. Nikt więcej nic takiego nie zdołał napisać. Na ogół koncentrujemy się na dosłownie pojętej stronie zewnętrznej: stajenka, choinki obsypane śniegiem (co już jest bzdurą), Trzej Królowie z darami, zwierzątka i aniołki. Taką mamy ikonografię, odwieczną, ale przede wszystkim zaprzęgniętą dziś w służbę komercji. Dlatego jesteśmy znieczuleni na istotną symbolikę. Ale dzisiaj to, co z kolorowego plastiku sprzedaje się najlepiej.

Powróćmy jeszcze na chwilę do Karpińskiego. Najważniejsze zostało tu powiedziane w genialnym skrócie. Niech Pani zwróci uwa-

gę na metafizyczną stronę tego wiersza, funkcjonującego jako kolęda. Wejście nieskończoność w doczesny czas, przenikanie się dwóch rzeczywistości, zapowiedź czegoś nowego. I to jest w tym wszystkim najważniejsze. Ale może zbyt mało efektowne, aby stało się atrakcyjne. Tutaj trzeba wrażliwości, wyobraźni, wyciszenia.

Przeczytałem ostatnio ciekawą rozmowę Grzegorza T. Sokołowskiego z ojcem Mateuszem Kolbuszem, przeorem eremu kamedułów na krakowskich Bielanych. Cała książka liczy sobie trzysta szesnaście stron. Nieraz myślałem, że dobrze było by uciec od codzienności, zamknąć się w takim klasztorze, nie pisać do nikogo, nawet do Pani.

Pierwsza rzecz, która osłabiła moje iluzoryczne chęci kamedulskiego życia, to – żartobliwie mówiąc – fakt, że już o 3.30 trzeba wstawać. Ostatnimi czasy tak się rozleniwiałem, że z niechęcią wstaję około dziewiątej. Więc jaki tam ze mnie byłby kameduła.

Książkę czytałem z dużym zainteresowaniem, choć nie zgadzam się z wieloma sprawami. Przede wszystkim wydaje mi się nie stosowne traktowanie świata, który nas otacza, jako opozycji wobec duchowości. Przecież świat również jest stworzony przez Boga. Zresztą czytamy w Piśmie, że podczas aktu kreacji Bóg mówi, iż to co stworzył jest dobre. To prawda, tylko ludzie mają tutaj negatywny wpływ. To istoty drapieżne, wszczynające wojny, skłonne do robienia innym krzywdy dla samej przyjemności. I to ludzie popsuli i nadal psują wszystko, co z założenia miało być idealne. Trudno uwierzyć, ale są i tacy, którzy potrafią analizować wszelkie sytuacje, nie poddawać się skrajnościom. Dlatego wszelka asceza wydaje mi się absurdalna. Jakie metafizyczne znaczenie ma to, czy wstanę o 3.30 czy o dziewiątej, a nawet w południe? Oczywiście, jeśli nie mam do spełnienia jakiegoś obowiązku. W ogóle po co się zadreżać, umartwiać, odmawiać sobie nawet niewielkich przyjemności, skoro wszystko, co nas otacza zostało powołane do istnienia dla nas? Ważniejsze są świadomość, myślenie, filozoficzne dociekanie, samokrytycyzm niż lanie się dyscypliną po plecach. Dlatego nie zamykam się w takim klasztorze, bo to byłoby z mojej strony hipokryzją. Umartwiać się i jednocześnie marzyć o dobrym żarciu i wygodnym spaniu – to jeszcze gorsze, jeśli spojrzę się na to od strony moralnej. Chociaż lubię ciszę, spokój, i kiedy nikt mi nadmiernie nie zwraca głowy. Pani chyba przyzna mi rację... Ale – jak powiedziałam – to, co mówi o. Mateusz jest bardzo ciekawe, zmusza do refleksji, odsłania panoramę ludzkich dążeń, tęsknot, religijności. Jeśli jesteśmy przy religijności, to powiem Pani jeszcze, że bardzo nie pasuje mi słowo „Bóg”. Traci mitologią, stwarza zbyt antropomorficzny, a więc zniekształcony obraz Absolutu. Przywołuje na myśl bogów antycznych stworzonych podług czysto ludzkich wyobrażeń. Najbardziej trafne określenie Nieokreślonego, wydaje mi się starotestamentowe Jest Który Jest. Ono nie odpowiada wizji jakiegoś starca z siwą z brodą w otoczeniu aniołków. W takiego infantylnie przedstawianego Boga siedzącego na chmurze nie wierzę.

Człowiek potrafi wszystko zniekształcać, a ogarnięty szaleńcem postępu doprowadza do zwyrodnienia nauki, wiedzy, tworzy absurdalne ideologie; potem używa tego na zgubę całej ludzkości, jak choćby atomowej bomby. Mówiono niedawno o zaimprovizowanej audycji, w której nieistniejący w realu dziennikarz stworzony przez sztuczna inteligencję przeprowadzał wywiad z nieżyjącą od dawna Wisławą Szymborską. Nie jestem przeciw eksperymentom, ale powinny one pozostać w laboratoryjnym ukryciu, aby nie dostały się w łapy nieodpowiedzialnych, nawiedzonych troglodytów. Skoro w dowolny sposób można manipulować, pomyślałem sobie, że niedługo zobaczymy wywiad z Matką Boską, która bez troski przyzna się do dokonania aborcji. Powie w dodatku, że w związku z tym żadnego Jezusa nie ma, a ona czuje się wolną i szczęśliwą, spełnioną kobietą, i wszystkie do tego namawia. Zatem kolęda „Lulajże Jezuniu” straciłaby na aktualności. Jestem tolerancyjny, ale widać gołym okiem, że nasz ludzki świat staje się coraz bardziej zwyrodniały i głupi.

Podobnie dzieje się w sztuce, która się dewaluuje. Widziała Pani w telewizji wiekopomne dzieło, za które bogaci naiwniacy chcą płacić bająnskie sumy w dolarach? To banan przyklejony taśmą do ściany... Takich dzieł mógłbym zrobić multum, Pani zresztą też. Może sedno w tym, że to nie my pierwsi wpadliśmy na taki genialny pomysł.

Podobnie jest w poezji, zwłaszcza internetowej, gdzie każdy może pisać co mu się żywnie podoba, nie musi pracować nad warsztatem, a jakikolwiek rozwój artystyczny jest zbędny. Tu mi zapewne przykłaśnie Andrzej Walter, świetny poeta, również wymagający, surowy krytyk. Nie wszyscy na szczęście ulegają łatwemu modom. Jest jeszcze trochę „starowierów”, którzy wiedzą, na czym prawdziwa sztuka pisania polega.

Dostałem oto od Andrzeja Krzysztofa Torbusa zbiorek wierszy „Biuro rzeczy znalezionych”. Pięknie wydany przez krakowskie Stowarzyszenie Artystyczno-Literackie, ozdobiony rysunkami Janusza Jutrzenki Trzebiatowskiego. Ktoś powie, że Torbus pisze „po staroświecku” trzyma się dawnej poetyki, nie ucieka od rymu i rytmu. Tak, ale niech Pani zauważy (proszę koniecznie zdobyć tę książkę), jak to jest napisane; z jakim wyczuciem poetyckiego warsztatu, wrażliwością na słowo. Stara szkoła. Wiersze proste, dla dorosłych i dla dzieci. Słychać w nich echa Gałczyńskiego, Tuwima, ale najdoniośniej – co właśnie jest utworów tych zaletą – samego Torbusa, który jest poetą o bardzo szerokiej pałecie stylistycznej. A w tym tomie nie spotkamy zwykłych rymowanek, nie ma też narzucającego się dydaktyzmu i dosłowności. Jest tu po prostu... poezja.

Życzę Pani głęboko pojętych Świąt Bożego Narodzenia, zdrowia i pogody ducha –

**Stefan Jurkowski**

